

# Stanisław Mikke

---

## Znów się zaczęło

---

Palestra 40/5-6(461-462), 63-64

---

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



---

STANISŁAW MIKKE

## Znów się zaczęło

Rzezie, morderstwa, gwałty. Wybuchy i katastrofy. Korupcja i łajdactwa niesłychane wokoło. Czy nie odczuwacie, Państwo, takiej pokusy, aby raz na zawsze przestać słuchać dzienników radiowych, nie oglądać wiadomości telewizyjnych, uwolnić się od psychicznego przymusu czytania codziennych gazet? Muszę wyznać, że mnie coraz częściej ogarnia takie pragnienie. Udaje mi się je zrealizować wyłącznie na krótki, ściśle określony czas. Już podczas podróży w góry wpadam w stan błogości na myśl, że wieczorem nie będą oglądał „Wiadomości”, a następnego ranka nie obciążą lektura dzienników. Wszystko zaczyna się od razu jawić w lepszych kolorach. Okazuje się wówczas, że nawet jeśli świat zwariował, to są na nim jeszcze takie miejsca, gdzie można się tym nie przejmować.

Na taki to właśnie dobry czas zabrałem ze sobą wydruk komputerowy przygotowywanej do druku książki Philipa Margolina pt. „Po zmroku”. Ktoś poprosił mnie, abym zerknął na tłumaczenie tej powieści, której akcja rozgrywa się w amerykańskich sądach i okolicach. Niezbyt chętnie się zgodziłem, ale swoje nastawienie do tej pracy zmieniłem po zobaczeniu dedykacji autora: *Niniejszą książkę dedykuję tym adwokatom, którzy – często oczerniani, bardzo źle opłacani i wciąż przepracowani – reprezentują ubogich oskarżonych.*

Niestety, zapął do lektury zaczął wygasać po kilkunastu stronach. Po lekturze kilkudziesięciu nie miałem już złudzeń. „Po zmroku” nie jest wielką literaturą. To sensacyjna powieść, jakich wiele. Mimo to zasługuje na prze-

czytanie, zwłaszcza przez prawników. W większym bowiem stopniu niż inne tego rodzaju pozycje dotyka amerykańskiej rzeczywistości sądowej i adwokackiej. I chociaż nie można mieć żadnych wątpliwości, że opowiadana historia – fikcja literacka nie może odzwierciedlać wszystkiego tak jak jest naprawdę, to, wydaje się, przybliżyła ona wiele z amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości.

Bohaterem tej książki jest adwokat Matthew Reynolds, podejmujący się spraw najtrudniejszych, tych, w których grozi najwyższy wymiar kary. Przez ponad dwadzieścia lat praktyki nie musiał odwiedzać po zmroku żadnego więzienia, gdyż ani jeden jego klient nie został skazany na śmierć. Tak mówi on o tym do swojej młodej współpracownicy: *Nie czuję żadnej dumy z tego powodu, ponieważ w pracy jaką wykonujemy, nie ma miejsca na dumę. Jest to praca ogromnie wyczerpująca fizycznie i psychicznie. Nie będzie pani spała spokojnie ani właściwie się odżywiła i oczywiście nie będzie pani miała czasu na wspinaczkę czy bieganie. Ta praca wypruwa z człowieka bebechy. Wymaga całkowitego poświęcenia się dla ludzi, którzy są pariasami w naszym społeczeństwie. Nie przyniesie pani sławy, ale za to może wywołać nienawiść i złorzeczenia tak zwanych przyzwoitych obywateli.*

Adwokat Reynolds, prowadzący tryb życia mnicha jawi się jako postać wręcz wzniosła. Zwłaszcza gdy obraca się wśród prokuratorów i sędziów, którzy

swoją pracę traktują jako osobiste wojny. Ich emocje i ambicje biorą górę nad wszystkim – sprawiedliwością, uczciwością, zdrowym rozsądkiem. Ale i jemu nie jest obca ludzka namiętność – beznadziejnie nieodwzajemnione uczucie do pięknej kobiety – prokurator Abigail Griffen.

Czy w tej strasznej – jak chce autor – rzeczywistości Matthew Reynolds zdoła sam się obronić?

Książka przynosi na to pytanie odpowiedź najbardziej zaskakującą z możliwych. I to jeszcze jedna zaleta tej powieści.

Bohater powieści mówi w pewnej chwili: *Prawo pociągało mnie z tego samego powodu, z jakiego zafascynowałem się matematyką. Narzuca porządek społeczeństwu i stanowi zaporę dla barbarzyńców. Kiedy reguły prawa nie są respektowane, rozpada się cywilizacja.*

Przyjeżdżam wieczorem z Zakopanego do Warszawy i diabeł mnie podkusił. W pierwszym odruchu, po wejściu do mieszkania, włączam telewizor. W publicznej telewizji domorosły jakiś, niedogolony publicysta, obwieszcza w poważnym programie tonem mentorskim, że „pragnienie porządku to nic innego jak mentalność klawiszy”. I to nie spotyka się z żadną reakcją autorów programu. Gaszę telewizor, ale jest już za późno. Patrzę na nie rozpakowaną walizkę i mam nieodpartą chęć wracać tam, skąd przyjechałem. Zatrzymuje mnie jednak obowiązek napisania felietonu. I tak znów się wszystko zaczęło.